Nr. 11. We Lwowie dnia 16. marca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NARODOWOŚĆ I KAPITALIZM.

»Narodowość nowoczesna«. Studjum socjologiczne B. A. Lickiego. 1896. Wydawnictwo imienia T. T. Jeża.

Jedną z najwybitniejszych cech, charakteryzujących współczesne stadjum rozwoju społeczeństw, jest narodowość: zabarwia ona po swojemu instytucje, cechuje umysłowość, nadaje wybitne piętno wszystkim niemal stosunkom społecznym« — temi słowy rozpoczyna się nowa książka, o której chcę rzec słów parę na tem miejscu, praca szczególny interes i wagę mająca dla nas Polaków, którzy już sto lat z górą o prawo bytu i rozwoju tej narodowości z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym walczyć musimy.

Rzecz naturalna, iż rozpoczyna autor od określenia pojęcia narodowości, które, jak pisze, dotychczas »pozostaje mgliste i niepewne«. Bądź jak bądź, wśród istniejących rozmaitych określeń dadzą się zauważyć dwie grupy. Jedna zalicza narodowość do rzędu zjawisk duchowych, określając ją jako »pewien stan psychiczny, obejmujący daną grupę ludzi, złączonych przez wspólne sympatje, mających wspólne cele działalności i co najważniejsza, świadomie uznających swoją osobistość zbiorową, swoje społeczne j a. Do cech, — towarzyszących zawsze narodowości w mniejszym lub większym stopniu — zaliczyć trzeba: pewien wspólny typ fizyczny, r a s ę, wspólny środek porozumiewania się, j ę z y k, nakoniec pewną wspólną fizjonomję psychiczną, wyrażającą się w z w y c z a j a c h, o b y c z a j a c h, w i e r z e n i a c h i t. d.«. W grupie drugiej »narodowość uważaną jest, jako pewien z w i ą z e k ludzi, posiadających jeszcze prócz innych węzłów w s p ó l n e i n s t y t u c j e, lub też d ą ż n o ś c i do i c h u t w o r z e n i a«.

Zdaniem autora omawianej pracy narodowość jest zjawiskiem, złożonem z dwóch pierwiastków: p s y c h i c z n e g o i s p o ł e c z n e g o. Tezę tę szeroko autor uzasadnia. Rozwiązywanie jednak kwestji o istocie narodowości służyło autorowi tylko za środek, wiodący do celu głównego, a tym jest rozpatrzenie następujących kwestji: dlaczego narodowość nowoczesna dochodzi do zupełnego rozwoju w Europie właśnie w XIX. stuleciu? Dlaczego obejmuje ona wszystkich członków społeczeństwa, sięgając do samych jego głębin? Jakie czynniki społeczne wpływają na utworzenie takiego związku?

Cały rozdział drugi poświęcony jest rozpatrzeniu danych historycznych, dotyczących rozwoju idei narodowości, jak również i wpływu jej na wytworzenie pewnych ogólno narodowych instytucji. Powtarza tu autor za Renanem, że »narody w nowoczesnem znaczeniu są zjawiskiem stosunkowo nowem w historji. Starożytność ich nie znała; Egipt, Chiny, starożytna Chaldea nie były żadną miarą narodami, były to gromady... Starożytność klasyczna miała rzeczypospolite, państwa municypalne, związki rzeczypospolitych i państw; nie posiadała jednak narodów w tem znaczeniu, jak my je pojmujemy«. Rozpatrzenie się w wiekach średnich prowadzi autora i co do tej epoki do wniosku analogicznego.

»Na gruzach porządków średniowiecznych, wśród czynników, które wywołały ich rozkład, występują również pierwsze zapowiedzi dążeń narodowościowych... Bardzo jest charakterystycznem, że powstawanie pierwszych związków, które noszą na sobie cechy narodowości nowożytnej, wypływa najczęściej z walki o wolność polityczną i wolność sumienia, przeciwko uroszczeniom powszechnego kościoła i kosmopolitycznego cesarstwa« (Szwajcarja w walce z Habsburgami, Holandja z Hiszpanją, Anglja i Szkocja z papiestwem). Właściwy ruch narodowościowy na szeroką skalę datuje się od rewolucji francuskiej.

»Zasada narodowości, jako odrębnej osobistości społecznej, mającej prawo do samodzielnego bytu i rozwoju, została pierwszy raz wygłoszona zaledwie przed stu laty podczas wielkiej rewolucji i przez nią samą. Uznając zasadę zwierzchnictwa ludu pod względem politycznym, trzeba było konsekwentnie wyprowadzić wniosek, że lud ten stanowi pewną całość samą w sobie, niezależną od innych ludów, a stąd całkiem logiczne było przejście do uznawania bytu innych narodowości, jako osobistości społecznych, do pozostawiania im w zasadzie zupełnej niezależności pod względem odrębności bytu i rozwoju«. Na kilkudziesięciu stronicach kreśli autor zarys rozwoju ideji narodowości w Anglji, Francji, Włoszech, Niemczech, Szwajcarji i Ameryce północnej.

Możnaby się nieco posprzeczać z autorem o gruntowność tej historycznej części jego studjum, o ścisłość tych bardzo nieraz szerokich jego uogólnień historycznych i t. d. Ale, bądź co bądź, można się zgodzić z wnioskiem, do którego autor przez te celowo ułożone wywody historyczne zmierza, można przyjąć, że narodowość w tej postaci, jaką dziś posiada, tj. w postaci po większej części obszernych związków narodowych, o typach narodowych mocno odrębnych i jaskrawych, ze świadomością narodowościową, zakreślającą kręgi coraz szersze i sięgającą w głąb mas ludowych, że słowem, taka »narodowość nowoczesna« jest faktem historji nowożytnej, jeżeli nie najnowszej.

Postarajmy się teraz w ślad za autorem odpowiedzieć na postawione przezeń pytanie: dlaczego pomimo nieznanego w wiekach dawniejszych rozwoju komunikacji, ułatwiających przesiedlanie całych mas ludności z jednych krajów do drugich, pomimo ciągłego, coraz to szerszego obcowania ze sobą różnych narodów w sferze nauki i sztuki i wzajemnej wymiany tego duchowego dorobku swego rozwoju cywilizacyjnego, pomimo rosnącej ekonomicznej solidarności różnych narodów, — dlaczego i pod wpływem jakich czynników ta narodowość nowoczesna dochodzi do zupełnego rozwoju właśnie w XIX. stuleciu, dlaczego obejmuje wszystkich członków społeczeństwa, sięgając do samych jego głębin?

(Dok. nast.)

Psychologja Höffdinga.

(Psychologie im Umrissen auf Grundlage der Erfarhung von Dr. H. Höffding proff. an der Uniwersität im Kopenhage'n Zweite Auflage. 1893).

Psychologja Höffdinga cieszy się wielkiem uznaniem nietylko w ojczystym kraju, ale także w Niemczech i Anglji. Dowodem tego jest drugie jej wydanie niemieckie, rozszerzone i uzupełnione podług trzeciego wydania oryginału. Ponieważ mamy ją także po polsku, chociaż w tłómaczeniu, dokonanem podług pierwszego jej wydania niemieckiego, sądzę przeto, że ocena jej nie będzie obojętną dla naszej publiczności. Mimochodem muszę nadmienić, że to drugie wydanie niemieckie w istotnych swych częściach nie różni się od pierwszego. Poczynione w niem zmiany dotyczą szczegółów. Autor stara się przedewszystkiem jaśniej i dokładniej wypowiedzieć to, co w pierwszem wydaniu zdawało mu się być mniej wyraźnem i zanadto ogólnikowem, a następnie sprostować niektóre ze swych zapatrywań zgodnie z nowemi doświadczeniami.

W szczegółowy rozbiór dzieła Höffdinga wdawać się nie mogę. Za daleko by to mnie zaprowadziło. Zajmę się więc wyłącznie tem tylko, co stanowi jego właściwość, co je wyróżnia od innych dzieł tego samego rodzaju.

Autor zamierzył pogodzić w swem dziele dwa kierunki, jak dotąd wręcz przeciwne sobie: empiryczny, panujący przeważnie w psychologji angielskiej i racjonalny, uprawiany głównie przez Niemców. Dla tego też w dziele jego potrzeba odróżniać stronę empiryczną od spekulacyjnej. Pierwsza nie pozostawia nic do życzenia. Rozklasyfikowanie faktów jest umiejętne, analiza ich ścisła, wykazanie ich stosunków wzajemnych dokładne, o ile tylko być może w obecnym stanie naszej wiedzy. Inaczej się rzecz ma ze stroną spekulacyjną. Tyle w niej napotykamy sprzeczności i taką niepewność samego autora w wysnuwaniu ostatecznych wniosków, że nie podobna wyrozumieć, o co autorowi chodzi i czego on dowieść pragnie Gubi się on przy tem w subtelnościach, których mógłby mu pozazdrościć nie jeden scholastyk niemiecki ze szkoły Kanta lub Hegla. Głównem zadaniem metafizycznych jego wywodów jest wyjaśnienie stosunków duszy do ciała.

Do duszy zalicza on te tylko zjawiska życiowe, którym towarzyszy świadomość; zjawiska nieświadome stanowią to, co nazywamy ciałem. Ponieważ świadomości nie podobna sprowadzić do ruchu mechanicznego, który stanowi istotę zjawisk cielesnych, dusza przeto nie ma nic wspólnego z ciałem i między niemi nie może być żadnego oddziaływania. Dla tego też wszystkie dotychczasowe teorje, usiłujące wytłómaczyć związek duszy z ciałem, takie mianowicie, jak Kartezjuszowski dualizm, materjalizm i spirytualizm, nie wytrzymują ścisłej krytyki. Jedyną teorją, zgodną z faktami doświadczenia i czyniącą zadość wymaganiom rozu u, jest monizm.

Monizm zapatruje się na duszę i ciało, jako na dwie abstrakcje myślowe, oznaczające dwie strony zasadniczego bytu, jednego i niepodzielnego w sobie. Jakim jest ten byt w samym sobie, tego nie wiemy i wiedzieć nie możemy, gdyż znamy go tylko z jego objawów, z tego, jakim się nam wydaje. Zmysłom naszym przedstawia

się on, jako ciało, podobne do ciał, spostrzeganych w świecie zewnętrznym; naszemu zaś wewnętrznemu spostrzeganiu objawia się, jako dusza, posiadająca własności, jakie świadomość w sobie samej wykrywa. Byt ten więc w samym sobie, w swej istocie, nie jest ani duchem, ani ciałem, lecz czemś różnem od nich, jakiemś X., które leży po za granicami naszego poznania. Dusza i ciało w takim samym zostają stosunku do bezwzględnego bytu, w jakim wklęsłość i wypukłość do soczewki, której są dwiema stronami.

Zdawałoby się, że autor raz zająwszy takie stanowisko pozostanie mu wiernym; tymczasem w następującym zaraz rozdziale utrzymuje, że poniżej zjawisk świadomych leży sfera zjawisk nieświadomych, również duchowych, a przynajmniej do nich analogicznych. Czem są te zjawiska nawpół duchowe i w jakim zostają one stosunku do zjawisk cielesnych, — żadnej na to odpowiedzi nie znajdujemy. Dowiadujemy się tylko, że ten nieznany pierwiastek jest współrzędnym materji i towarzyszy jej we wszystkich jej ukształtowaniach, zaczynając od atomu, a kończąc na wszechświecie, że jest ono przeto dla wszystkich tworów przyrody, minerałów i roślin, tem, czem jest dusza świadoma dla istot, obdarzonych układem nerwowym. Bądź co bądź, pomiędzy owym pierwiastkiem, a duszą świadomą nie może być istotnej różnicy. Jeżeli bowiem koniecznym warunkiem świadomości »jest układ nerwowy, to w każdym razie układ nerwowy, jest tylko wyższym stopniem czegoś, co już zawierało się w jednolitej plazmie«. Z podobnąż słusznością mógłby autor powiedzieć, że układ nerwowy jest tylko wyższym stopniem rozwoju tego, co już zawierało się w przedstworzennym chaosie. Ten rodzaj rozumowania przypomina wywody owych embrjologów, którzy utrzymują, że w zarodku każdej istoty żyjącej zarysowane już są dokładnie wszystkie części przyszłego organizmu tak, że życie organiczne polega nie na rozwoju, ale na prostem powiększaniu się podobnie, jak to się dzieje z kryształem, gdy go umieścimy w odpowiednim roztworze, z tą jedynie różnicą, że kryształ powiększa się od zewnątrz, organizm zaś od wewnątrz.

Do tak niespodziewanych wywodów, przerzucających autora odrazu na stanowisko dualistyczne, a może właściwiej byłoby powiedzieć — panteistyczne, dochodzi on drogą rozumowań, również ciekawych, jak i jego wywody.

(Dok nast.).

Urywek z dziennika.

(Dokończenie).

Naraz zauważyłem, że na piersi jego ponsowa wstążeczka poruszać się zaczęła. Może to przyśpieszony oddech ją poruszył — pomyślałem zrazu, lecz

TAKŻE EWANGIELISTKA.

Sylwetka petersburska.

[Ciąg dalszy].

Tu i ówdzie siedzą pobożni, mniej mężczyzn, więcej kobiet, nad rozłożonemi na pulpitach książkami, ostro odbijając swemi ciemnemi figurami od tej ogólnej białości.

Na ścianach brak obrazów, lecz za to pełno jakichś godeł i emblematów.

Spostrzegam drzewa alegoryczne, oślą głowę i rybę, i domyślam się, że są one wzorowane na godłach starej chrześcijańskiej Romy.

Siadam w jednej z ostatnich ławek. N - owa, zwyczajem katolickim, klęka.

Czyjaś mała, szczupła rączka w świeżutkiej czarnej rękawiczce, podaje mi z tyłu dwie książki. Odwracam się, żeby podziękować, a młoda pani, z twarzą zakrytą gęstym, żałobnym welonem, zlekka kiwa mi głowa.

Otwieram książki: — jedna jest zbiorem hymnów angielskich, druga zaś zwykłym ewangielickim *Gesangbuch'em*.

Tymczasem liczba »pierwszych chrześcijan«, z rozmaitych dzielnic Petersburga, coraz to się powiększa; jest tu już ich teraz około stu osób. Gwar się wzmaga, rozróżniam wyraźnie rosyjskie i niemieckie frazesy, uśmiechy i ukłony krzyżują się co chwila, toalety nie tylko dostatnie, lecz nawet eleganckie, atmosfera angielskich perfum otacza mię dokoła. Lecz oto poczyna się ona mięszać z odurzającą wonią mirry wschodniej; boczne drzwi się otwierają i, otoczony niebieskim obłokiem lecącym z kadzielnicy, wchodzi celebrant w długiej śnieżnej albie, w asystencji dwóch białych djakonów. — Wszystkie głowy chylą się kornie ku ziemi. Co do mnie, przypatruję się ze zdumieniem wspaniale rozczesanym faworytom szpakowatego celebranta i jego modnemu rozdziałowi na samym środku głowy. Elegancki monokl w złotej oprawie kołysze się na piersi, tuż obok czerwienieje jakaś wstążeczka.

— Kto jest ten — pan? — pytam nieśmiało N—owej, wciąż jeszcze klęczącej obok mojej ławki i wpatrzonej w niego w tej chwili.

— To nasz biskup, rzeczywisty radca stanu A—erg. — odpowiada mi z namaszczeniem. Tytuł ten, koafiura, monokl i wstążeczka wprawiają mię w tak niespodziany humor, że boję się już spojrzeć na ich szczęśliwego posiadacza. Przy-

wkrótce spostrzegłem, że zaczyna drgać coraz szybciej, coraz gwałtowniej, aż wreszcie nastąpiły ruchy tak bystre, iż należało się obawiać, że lada chwila zerwie się z pętliczki i order z głośnym brzękiem poleci na podłogę. Patrzałem zdumiony, szukając przyczyny podobnie niezwykłego widoku, gdy zacząłem spostrzegać, jak pod wstążeczką powoli, niewyraźnie formować się poczyna czarna niewielka plama. Zrazu była malutka, jak cień listka, wzrastać jednak poczęła nader szybko, objęła klapy surduta, pokryła biały gors koszuli, rozszerzyła się na ramiona, rozpływała się nawet po za nie. Wkrótce pod poważną, pełną pewności siebie twarzą była już tylko wielka czarna, głęboka, bezdenna zda się czelność bez formy, bez ostrzeżenia wyraźnego, rozpływająca się kędyś bez granic, bez oporu. Co to być mogło? Gdzie podział się ten człowiek? Dokąd sięga ta przepaść taka czarna i pusta? Gdy usilniej jednak wzrok natężyłem, dostrzegłem, że nie zupełnie była pustą: z naj dalszych głębin zrazu prawie niedostrzegalne, potem coraz wyraźniejsze dobywać się poczęły jakieś opary mętne, dymne, bezforemne jak dymki w topazowych kryształach. Ponsowa wstążeczka targała się pod ich powiewami konwulsyjnie. Nic podobnego dotąd nie widziałem. Stałem strwożony, przykuty wzrokiem do tego zjawiska i tu zauważyłem, że smugi te mgieł wychodzące na powierzchnię, wydają chrzęst ostry, przykry, zgrzytliwy, ale tak subtelny, że jedynie słuch mój nadnaturalnie podniesiony mógł je ułowić.

»To ja, to ja, to ja! — zasyczał mętny wyziew i popełzł w górę po ciele — »wielkie, uczone ja, krajowe, europejskie, wszechświatowe! Wysoko ponad głowy wasze polecę, ponad płytkie wasze głowy; jeśli zechcę, schylać się przedemną będziecie, jeśli zechcę ulepię z was opinję publiczną i dać będę na tym glinianym koniku co sam zechcę i dopóki sam zechcę«...

»To ja, to ja! — przewinął się przezeń powiew drugi. — Twój mózg pracował, a jam zyski liczył, twoja ręka po laury sięgała — a jam zysk liczył, twoje sumienie wybierało — a jam zysk liczył, i twoje serce zabiło — a jam mu takt wydzwaniał. Duszą twej duszy byłem i jestem«.

Nagle wypadł kłąb małych dymków, które wnet rozstrzeliły się na wszystkie strony.

»Po nas, po małych, nikłych, nędznych, piąłeś się do góry. Twoja nauka? Nędza by cię zżarła i zgniłbyś bez śladu; ale my cię wyniosłyśmy na grzbietach — my drobne, my poziome, my — praktyczne. Czy wiedza twoją wielkością czy my?«

Tu zmienił je inny:

»A pamiętasz ów mądry konflikt między pewnem ciałem uczonem i twoją nauką? Pomogłem ci, co? Czem byłbyś dziś, gdybyś wówczas posłuchał — sumienia?«

Nagle jakiś głos skarżący się zajęczał:

»Ach oszczędź mnie! Twoja szeroka droga czyż koniecznie moję wąziuchną kamienistą ścieżkę przeciąć musi? Ja także żyć chcę, ja także chcę

---

pomina mi się natomiast rozmowa dwóch amatorów baletu, w którejś z satyr Szczedrin'a:

— »Patrz pan, któż to tam wywinął to zdumiewające antrsza *(entrechat)?*«

— »To rzeczywisty radca stanu *Petipas*«. A więc i tu bez »radcy« poradzić sobie nie mogli.

Tymczasem odprawia on z wielką powagą nabożeństwo, podobne do mszy katolickiej, a jeszcze więcej do anglikańskiej, przerywane często chóralnym śpiewem »braci isióstr« gminy. E pilogiem jej było coś w rodzaju komunji powszechnej, przykre na mnie robiącej wrażenie, to też, po ukończeniu jej, z wielką radością podniosłam się z miejsca, ciesząc się, że moja rola widza jest już wreszcie skończona. Lecz oto N—owa, na którą mało przez ten czas zwracałam uwagi, wstrzymała mię gwałtownym ruchem, szepcąc z tajemniczym wyrazem, że za chwilę właśnie zaczną się proroctwa i głosy Ducha świętego.

Ciekawość przemogła i zostałam w ławce, oczekując z niecierpliwością pierwszych objawów natchnienia. Tymczasem rozglądałam się po sali, chcąc pochwycić nastrój psychiczny publiczności. Rzecz dziwna, — jaki spokój, wobec tego *moment supreme*, który miał dla nich nastąpić. Czytają sobie z mniej więcej obojętnym wyrazem swoje zagraniczne książki i od czasu do czasu rozmawiają dość głośno po rosyjsku.

W tem stojąca obok mnie N—owa upadła nagle na kolana, złożyła ręce z dziwnie skupionym, modlitewnym wyrazem, a wyciągnąwszy naprzód głowę, jakby w natężonem wyczekiwaniu, wpatrzyła się przed siebie.

Spojrzałam w tym samym kierunku i zauważyłam, że pochylone plecy białego djakona, stojącego z lewej strony ołtarza, dziwnie jakoś falują, głowa jego to się wznosi to opada, wreszcie raptownie obraca się on ku nam, a drżąc całem ciałem, wymawia oderwane jakieś, niewyraźne słowa.

Nic nie rozumiem, — po chwili jednak głos staje się pewniejszy, artykulacja jaśniejszą — a ucho chwyta wreszcie słowa:

— »I powiedział Pan ślepemu Oceanowi: »stój!« I Ocean poznał granice swoje i wstrzymał fale swoje. Ale odrodzony duch ludzki, nie ślepy, lecz widzący, rozlewa coraz szerzej strumienie światła swego po wszechświecie, a choć strumienie te krwią nieraz się barwią, choć noce czarne stają im na drodze, to jednak ogień Ducha znowu je oczyszcza, języki płomieniste spływają na wybranych, dawne winy się kruszą, a nowy dzień żywota się zaczyna. Języki płomieniste

światła — odrobinę, szczyptę światła, szczyptę życia! Litości! Och, nie rozdepcz mnie!«...

Lecz wnet zaszumiały inne:

»Nisko gięliśmy głowę przed kolosami tego świata; czepialiśmy się płaszcza ich z kawałków fałszu zszytego«.

A inne:

»Z prądem nieśliśmy cię zawsze«.

Jeszcze inne:

»Po mętnej fali nieśliśmy cię, lecz z prądem«.

Inne znów:

»Przygrywaliśmy ci, gdy sumienie skrzypieć zaczynało — krzyczeliśmy, gdy ono wołało«.

A wtem z największych głębin odezwały się płaczliwe, rozpaczne jęki i szare szmaty mgły wązkiemi, długiemi smugi pociągnęły się w górę.

»Ach, mózg twój wielki, ale twoje serce — twoje serce jest puste! Ręce wyciągamy do ciebie, wychudłe, zczerniałe ręce... łzy nam płyną nieustannie, ale ty nas nie widzisz! Ty oczy wbijasz gdzieś wysoko, ponad głowy nasze, a serce twe nieme i głuche«..

Lecz wnet je zagłuszył inny:

»Precz nędzo! mój rydwan szybko leci. Czyż byłbym u szczytu, gdybym przy was w bagnie ugrzęznął?«

A tu znowu:

»Liczę fale wibracji nerwów u noworodka... Głodnyś? Odstąp, przeszkadzasz mnie!«

I nagle czystą wibrującą nutą zadźwięczało ponad wszystkiem:

»O, dziecię, synaczku mój! Jakiś ty wielki! Jak tywysoko! Stare moje oczy ledwo cię dojrzą. Aleczyś aby nie zapomniał... miłować?« Czerwona wstążeczka zasługi dygotała nad czelnością w konwulsjach. Opary szły, szły jedne za drugiemi, rozpełzały się naokoło ciężkie, ciemne, brudne... Ogarnęły całą grupę skupionych osób, podniosły się do sufitu, padały na jasne ściany, przysłaniały szkła lamp. Stało się nagle tak duszno, że oddech trudno było ułowić.

I wtedy to nagle, wbrew dotychczasowym moim instynktom opanował mną poryw, szalona chęć, potrzeba konieczna starganej, wstrząśnionej mojej duszy dowiedzenia się wszystkiego, ujrzenia wszystkiego. Zażądałam poznać odrazu, w jednej chwili, wszystkie myśli, wszystkie najskrytsze poruszenia jestestwa tego zbiorowiska ludzi, jakie miałem przed oczyma. Niechże do reszty spadnie mi z oczu opaska, niechże ich ujrzę takimi, jacy są w istocie, na wskróś, do dna ich duszy — ci bliźni moi, ci bracia...

Gnany tą palącą żądzą jasnowidzenia szedłem przed siebie, obchodząc wszystkie salony, zaglądając w każdy zakątek. Patrzałem i słuchałem.

I zdało mi się nagle, że z tych ludzi dokoła mnie ruszających się, uprzejmych, miłych, przyzwoitych, uśmiechających się do siebie przyjacielsko i rozbawionych jakaś niewidzialna, a potężna ręka zdejmowała wieka i przed memi oczyma otwierały się czarne przepaściste wnętrza,

---

stanęły nad głową Irwinga i jego towarzyszy, po obu stronach ślepego oceanu, i zaczęła się jutrznia nowa, i rozpierzchli się po świecie nowi apostołowie. A są to apostołowie trzeciej doby, apostołowie Ducha, na początku stworzenia unoszącego się nad wodami, Ducha ognia oświecającego, Ducha odrodzenia, Ducha pokoju i miłości narodów, Ducha, udzielającego każdemu z osobna, według pragnień jego. Znowu bije cicho cudów godzina, głuszona gwarem giełd i szczękiem żelaza, lecz wyraźna dla naszej gminy apostolskiej, znowu wóz powietrzny starego zakonu zajechał przed jednego z ojców naszych i, jako ongi Eljasz prorok, i jako poprzednicy jego z pomiędzy apostołów naszych, nie zrzuciwszy powłoki ziemskiej, powrócił on do Dawcy Żywota, — Pana nad Pany. Powiadam to wam, abyście poznali widomą łaskę Bożą nad apostolską gminą naszą i rozradowali spragnione serca wasze«...

Szmer jakiś był odpowiedzią na te słowa; — bracia i siostry upadli na kolana. Co do N—owej, klęczała ona ciągle, przymknąwszy powieki, z pod których spływały obfite strumienie łez; podniosła je wreszcie, wpatrzona w proroka, uspakajającego się stopniowo, a w spojrzeniu jej było coś tak żebrzącego, upośledzonego i beznadziejnego, jak w spojrzeniu torturowanego psa

Z trudnością oderwałam wzrok od niej, żeby nabrać pojęcia o usposobieniu innych zgromadzonych, — lecz się przekonałem, że moja sąsiadka była tu tylko wyjątkiem...

Tymczasem dały się słyszeć znowu monotonne dźwięki przed ołtarzem. Stał tam jegomość w ciemnym paltocie i złotych okularach, o niedokrwistej cerze, przeciętny petersburszczyk z wyglądu; i on też drżał całem ciałem i jego głowa także wykonywała miarowe ruchy.

Rozpoczął swe wieszczby od obrazu: stawiał przed oczy słuchaczów jakiś bezmiar łąk słonecznych, pełen barw, blasków i lazurów, falujący zlekka, pogodny i bezpieczny, na którym się pasą stada baranków białorunnych, przypadających co chwila do stóp dobrego pasterza. Miał to być widocznie obraz przyszłej idealnej ludzkości; lecz w ślad za tem nastąpiła jaskrawa antyteza teraźniejszości, charakterystyka dzisiejszej moralności międzynarodowej, zaopatrzona nawet w cytaty z gazet politycznych rosyjskich i niemieckich. Frazesa pojedyńcze rwały się co chwila, naprzemian, to wybuchając z ust »prorokującego«, to ledwie się przedzierając przez zgrzytające zęby. »Narzędzie Ducha świętego« cytując nawet »Times'a«, czy »Figara«, drżało i kurczyło się przed ołtarzem, jakby na stole wiwisekcyjnym.

(Dok. nast.).

pełne kłębiących się wyziewów, skrętami gadów wypełzających ze dna. Widziałem te czołgające się brudne opary, licznemi pasmami zwijające się dokoła stołów kartowych i gdy poważni gracze zamieniali ze sobą swobodne frazesy, nierzadko uśmiechy i żarty, one, te gady, syczały z ich piersi wściekłością, tem straszniejszą im bardziej tłumioną, nikczemną pożądliwością złota, niską zajadłością namiętnego gracza. Widziałem opary te unoszące się nad tłumem rozbawionej młodzieży — mdłe, nikczemne opary, dobywające się z piersi świetnych, zalotnych kobiet, i szmery próżności, podrażnionych zmysłów, wstrętnej pustki ich duszy syczały nad pięknemi ciałami; widziałem młodzież męzką, działaczy przyszłego wieku, lawirujących zręcznie między kuszącemi pożądaniami świetnej karjery i chwilowem brudnem połechtaniem zmysłów; — widziałem i słyszałem kryjące się po kątach pod osłoną uprzejmych rozmów i wykwintnego obejścia się gorączkowe, naprędce zadzierzgane, podejrzane spekulacje, nikczemne intryżki... Słyszałem i widziałem szmer gładkich frazesów, pochlebne słowa i miłe wejrzenia — całą armaturę obyczajowej kultury dzisiejszej — a spodem jej, nisko, płynęły dymne, błotne wyziewy, ciężką sadzą padające na świetny połysk zewnętrznych ram, bezwstydnemi cynicznemi sykami napełniające powietrze — Widziałem i słyszałem co czuli i myśleli: czarne, pełne wzajemnej nienawiści i obłudy niskości ich wnętrza, całą kłębiącą się walkę naszego codziennego życia. — Widoku tego miałem pełne źrenice, i głosów tych pełne uszy — i pierś ma wezbrała olbrzymiem oburzeniem, olbrzymim bólem — i wstydem - wstydem — wstydem!

Ukryłem twarz w dłonie; chciałbym zniknąć w jakiejś roztwierającej się u nóg mych rozpadlinie, któraby mię zakryła przed tem tarzającem się po prochach człowieczeństwem, przed temi w bagnie tańczącemi błędnemi ogniami bosk ch, nieśmiertelnych duchów!...

Nagle z przedpokoju doleciał czysty głos dzwonka To ona! Drgnąłem, jakby mię nagle jaki prąd piorunowy wyrzucił na brzeg inny. To ona! Jaką ją ujrzę? Z czem stanie tu przedemną? Co znajdę w jej sercu i czem jest to serce? Czem jest nareszcie ona, cała?

Czułem, że cała istność moja napręża się we wzroku wbitym we drzwi, czułem, że żyć przestaję, a tylko czekam w następnej, najbliższej chwili — zbawienia lub śmierci.

Drzwi się otwarły, na progu stanęła Tonia.

W jasnej sukience, wysmukła, wdzięczna, dziewicza, uśmiechała się miłym uśmieszkiem i wprost na mnie roześmianemi oczyma. Szła ku mnie prosto, nie widząc nikogo, nie witając się z nikim, jakby przeczuła, że ja tu jeden, czekając na nią, z niepokojów umieram. Patrzyłem na nią i radość, obawa, nieufność i nadzieja szarpały mną jednocześnie. Zbliżała się wreszcie, i wciąż się uśmiechajęc wzroku nie spuszczała z mych oczu.

Nareszcie, nareszcie! będę cię widział, będę cię rozumiał — szeptałem drżącemi wargami, natężając wzrok, słuch, wszystkie siły mego jestestwa.

A ona, mrużąc się na mnie płowemi rzęsami, przemówiła, uśmiechając się zagadkowo:

— Już czas, — doprawdy, już czas...

I kwiatem trzymanym w dłoni uderzyła mię po ramieniu.

Drgnąłem i — otwarłem oczy.

Oblany gorącym potem, z głową w ogniu i krwią szumiącą w uszach leżałem na posłaniu. Nademną pochylał się mój Franciszek i zlekka mego ramienia dotykając powtarzał: »Już czas, już czas!«

Ach, więc to był sen!? O dobry Boże, to tylko sen!!..

Wiosenne słońce wesoło świeciło w okna, zegar wydzwaniał jedenastą — nie spóźnię się na posiedzenie ani pół chwili, i twarz mego Franciszka patrzy na mn e tak poczciwie..

Ach — to był sen... Zobaczę mych bliźnich w ich codziennych przyzwoitych maskach, bez żadnych zdradzieckich głosów ich myśli.

O moi mili bliźni, takeście stokroć milsi — z maską — z maską...

. . . .

W. Dalecka.

WYPRAWA NANSENA

do bieguna Północnego.

Niesprawdzone dotąd wieści o tem, jakoby Nansen dotarł do bieguna północnego i wracał przez Syberję północną, rozbudziły na nowo ciekawość tych, co śledzili za pierwszemi przygotowaniami odważnego podróżnika. Dwa i pół lat minęło od ostatniej wieści o Nansenie. Zbyt duży to przeciąg czasu, ażeby jedni zachowali w pamięci fakt nowej wyprawy w krainę lodu, żeby zaś drudzy nie ochłodli nieco w ciekawości, jaką ta wyprawa budziła narazie. Niejasne wieści, nadchodzące z Syberji, wydają się chwilą sposobną do przypomnienia tego, co o swych zamiarach pisał sam Nansen 26 czerwca 1893 r., oraz tych szczegółów o wyprawie, które zbadano następnie aż do chwili, kiedy podróżnik znikł z horyzontu.

Rozpocząwszy podróż, Frydjof Nansen rodem Szwed, pisał obszernie do sekretarza Towarzystwa geograficznego w Londynie o planach swoich i celu podróży. List ten nosi wskazaną wyżej datę, 26 czerwca 1893 roku i daje poznać bardzo ciekawe szczegóły, dotyczące wyprawy.

»Właściwością główną mego planu — pisze Nansen — jest zamiar przedostania się do strefy

polarnej, lub przecięcia jej, przyczem chcę się posiłkować istniejącemi prądami morskiemi, nie zaś walczyć z niemi. Nieraz już wypowiadałem opinję, że gdzieś muszą niewątpliwie istnieć prądy, skierowane ku strefie polarnej — prądy, które unoszą lodowce przez morze Północne, najprzód ku północy, w kierunku bieguna, a następnie ku południowi, do oceanu Atlantyckiego. Że tak jest, świadczy praktyka wszystkich poprzednich wypraw do bieguna. Wyprawy te musiały walczyć z prądami i lodowcami ku południowi. Wyprawy obierały nie ten kierunek, jaki właściwie obrać należało. Że prądy i lodowce płyną od strony północy, to świadczy, że one muszą się tam pierwej dostawać, według tych samych praw, według których wodę wypływającą zastępuje napływająca«.

Zdaniem podróżnika, istnieją nawet dowody, że prądy, o których mowa, przepływają strefę popularną. Oto np. bardzo dużo drzewa przypływa corocznie do brzegów Grenlandji i Szpitzberga, a przypływa w takiej ilości i z taką prawidłowością, że niepodobna uwierzyć, żeby drzewo to przybijało do brzegów lądu, dzięki tylko wiatrom lub prądom przypadkowym.

Nansen przypuszcza, że istnieje prawidłowa komunikacja pomiędzy brzegami Syberji, a Grenlandji i Szpitzberga. Te same prądy przyniosły kilka przedmiotów z »Jeanette«. Statek ten zatonął w czerwcu 1881 r., na północ od wysp Nowo-Syberyjskich, a we trzy lata później w czerwcu 1884 r., znaleziono kilka przedmiotów, należących do »Jeanette«, na lodowcu opodal południowo-zachodniego brzegu Grenlandji. Lodowiec ów miał być przyniesiony przez te same prądy, które kierują drzewo do brzegów Grenlandji i które przyniosły przyrząd używany przez Eskimosów — drąg do harpuna, w kierunku od Alaski do brzegów Grenlandji.

»Postaram się — pisze Nansen — odnaleść miejsce, w którem koncentrują się owe prądy i kierują się na północ, dopokąd nie dostanę się do lodowców polarnych. Wówczas dam się poprostu unieść prądowi przez strefy nieznane i wypłynę na morze otwarte po drugiej stronie bieguna«.

Jeśli prawdziwemi są wieści, że Nansen wraca przez Syberję, to plan jego przedostania się na morze otwarte po drugiej stronie nie powiódł się. Nie wyklucza to wszakże możności, że był u bieguna i o to spór wiodą obecnie znawcy krain, najbardziej wysuniętych na północ.

Otóż, nakreśliwszy sobie plan powyższy, Nansen ie łudził się, że wykonanie jego będzie łatwem. Przeciwnie, zdając sobie jasno sprawę z tego, co go czeka i znając szczegóły wypraw poprzednich, rozpoczął od przygotowań do wyprawy.

Przedewszystkiem wypadło myśleć o takim statku, który walczyłby skutecznie z naciskiem lodów gnanych, przez prądy i wiatry, panujące na morzu Lodowatem. Taki statek nie istniał w naturze. Trzeba go było budować. Poświęcono na to $2^1/_2$ lata i stworzono statek »Fram« (Naprzód). Szkielet statku zbudowany z mocnego dębu włoskiego, grubości od 10 do 12 cali. Od strony wewnętrznej oszalowany jest smolistemi deskami sosnowemi, grubości od 4 do 8 cali. Nazewnątrz oszalowanie potrójne: podwójny szereg desek dębowych, a potem deski z drzewa zwanego w Gwinei — *bebiru*. Nadzwyczaj ono twarde, śliskie i ciężkie tak dalece, że tonie w wodzie. Grubość ścian sięga od 28 do 32 cali.

Siłę statku spotęgowano jeszcze bardzo ścisłem i mocnem wiązaniem belek wewnątrz, oraz kształtem, jaki mu nadano.

Zamiast ścian prostopadłych, »Fram« ma ściany zaokrąglone, wobec czego lodowce, oślizgując się, wyciskać będą statek nad wodę. Spód zewnętrzny okrętu nie wystaje, a w ten sposób nie ma obawy, żeby go lód potrzaskał. Wogóle statkowi nadano formę i podobieństwo, pod względem wypukłości i gładkości ścian, do orzecha kokosowego.

Długość »Frama« 128 stóp, a szerokość 36 stóp. W wodzie zagłębia się na 16 stóp, a nad wodą tylko 3 stopy. Takie zanurzenie statku było następstwem nader obfitego zapasu węgla. Statek ma trzy maszty. Tak zw. »wronie gniazdo« urządzono na maszcie najwyższym, dla obserwacji, w jakim kierunku prowadzić statek na morzu otwartem. »Fram« posiada maszynę parową o sile 200 koni i przy pełnym ładunku ma szybkość niewielką, bo zaledwie 5 węzłów na godzinę. Oczywiście, ostatnia ta okoliczność nie ma doniosłości poważnej dla wyprawy, której losy zależą nietyle od szybkości statku, ile od szybkości prądów morskich i ruchu lodowców.

Nansen ma trzynastu towarzyszów, a są nimi: Otto Swerdrup — właściciel »Frama«, towarzysz Nansena w wyprawie do Grenlandji; Sigurd Scott Hansen — porucznik floty norweskiej, naczelnik obserwacji meteorologicznych, astronomicznych, magnetycznych i geodezyjnych; Henryk Blessing — lekarz i botanik; Klaudjusz Teodor, Jacobsen — szturman (obliczający ruchy okrętu), dawniej myśliwy na psy morskie i marynarz w wyprawach naokoło Szpitzbergu i Nowej Ziemi; Peder Hendryksen — operujący harpunem, czyli hakiem, używanym dawniej do zabijania wielorybów, Hijalmar Johannesen — porucznik armji norweskiej; Iwar Mohstadt — cieśla; Lurs Pettersen — inżynier; Adolf Jujell — kucharz i majtek; Berut Bentsen — majtek i Nansen.

Wszystko, co się dało zrobić dla zabezpieczenia się od zimna i wilgoci, zrobiono. Wentylacja urządzona jak najlepiej. Wyjście z tzw. kajuty, salonu, ma miejsce przez drzwi poczwórne, a to dlatego, żeby nie wpuszczać zimnego powietrza. Salon i kajuty oświetlone elektrycznością. Słowem, podróżnicy zabezpieczyli się, o ile się dało, a nie zapominając o rozrywkach i przyjemnościach,

zabrali z sobą gry różne, duży zapas książek i instrumenta muzyczne.

Nansen, puszczając się na wyprawę, wierzył, że dla niego i jego towarzyszów zimno nie będzie zbyt straszne i że mieszkać będą z dostatnim komfortem, o tyle naturalnie, o ile nie wypadnie im pożegnać się z tak starannie zbudowanym »Framem«.

Myśląc o wszystkiem, musiano także pomyśleć i o zapasach żywności. Trzeba było unikać rzeczy, wywołujących szkorbut, który przyprawiał o zgubę licznych poprzedników Nansena. Otóż »Fram« naładowano najrozmaitszemi konserwami, jak: mięso gotowane, pieczone, solone; baranina, zające, kiełbaski oksfordzkie; kotlety, świnina, wędlina, słonina; konserwy z ryb i kawioru, w różnych postaciach; konserwy z owoców, owoce suszone, powidła, konfitury, proszek Berdowskiego custard'a; proszek z jaj; skoncentrowany sok cytrynowy; rodzynki, groszek, zupa grochowa; zupa z soczewicy; jarzyny suszone; suchary; czekolada; mąka, ryba suszona; kartofle suszone; mleko konserwowane z cukrem i bez cukru; herbata prasowana, ser, cukier i sześć ton masła. Trunków żadnych. Za napój ma służyć woda z mąką owsianą. Tytoń, i to w małych ilościach, będzie rozdawany tylko na statku, zaś podczas wypraw późniejszych, na saniach — wcale nie. Do tych ostatnich wypraw zaopatrzono się w specjalne zapasy żywności, a głównie: mięso suszone z tłuszczem, tak potrzebnym dla organizmu ludzkiego w krainach północy. Nadto podczas wypraw sannych, mają służyć za pokarm suchary z masłem; mleko, czekolada; ryby suszone, jarzyny suszone i herbata prasowana.

Ubranie zabrano wyłącznie wełniane jegerowskie. Podczas pogody wietrznej służyć będą nieprzewiewne ubrania z tkaniny nader ścisłej i chroniącej od wpływów zamieci; zaś podczas mrozów — ubranie skórzane, głównie wilczury i szuby ze skóry jelenia. Dla spędzania nocy na śniegu lub w namiotach, zabrano z sobą worki skórzane ze skór wilczych i jelenich, w »których to workach — mówi Nansen — możemy skutecznie walczyć z temperaturą 100° niżej zera«.

Na zakończenie dodajemy, że »Fram« zaopatrzony został w cały zbiór różnych instrumentów naukowych i aparatów fotograficznych różnej wielkości, a dźwiga także w swym tułowiu namioty, zabrane do wypraw na piechotę.

Namioty są zrobione z jedwabiu surowego i bardzo lekkie. Za podłogę ma służyć gruba tkanina jedwabna, nie przepuszczająca wilgoci, tworzącej się bardzo łatwo, gdy się śpi na gołej ziemi lub na śniegu.

Tak zaopatrzony »Fram« opuścił 21 lipca 1893 r. port norweski Warde, a 29. lipca, po pierwszej próbie walki z grubą warstwą lodów, przybył do Chabarowa, nad Jugorskim Szarem, cieśniną pomiędzy Wajguczem, a lądem stałym. W tej walce z lodem »Fram« dowiódł, że jest doskonale uzbrojony i może skutecznie stawić czoło wrogom wypraw dotychczasowych...

Ostatnie wieści o Nansenie przynieśli Samojedzi, przybyli do Chabarowa. Opowiadali, że 6. sierpnia widzieli statek, który kierował się ku północy wzdłuż półwyspu Jałmała.

Od owej daty, 1893 r., nie było żadnej wieści aż do ostatniej, pochodzącej od kupców syberyjskich.

Dotąd potwierdzenia wiadomości o powrocie Nansena niema i zapewne długo jeszcze czekać na to wypadnie, gdy się zważy przestrzenie, jakie każda wiadomość musi przebyć. Ustjańsk, zkąd pochodzi ostatnia wieść, podana przez kupca Kusznarewa, oddalony jest od Jakucka o 3000 wiorst i niema tam dotąd prawidłowo zorganizowanej komunikacji. Gubernator jakucki, p. Skripicyn, posłał urzędnika dla przekonania się o prawdziwości informacji, ale będziemy jeszcze długo czekali na jakąś dokładniejszą wiadomość o losach wyprawy.

A teraz wróćmy raz jeszcze do przewidywań Nansena.

Udając się w podróż, obliczał on, że wypadnie mu pięć do sześciu lat przebyć zdala od świata zamieszkałego. Na tyle też czasu zaopatrzył się w żywność i produkty. Trzymając się uporczywie wniosków o istnieniu prądów, które go gdzieś do lądu przypędzą, Nansen nie godził się z tymi, co wyprawę jego zaliczali do niebezpiecznych.

»Jeśli prawdą jest — mówił — że niema prądów, które ja przewiduję, to niema i niebezpieczeństwa. Nie mogąc posuwać się naprzód, wrócimy, przekonawszy się, że byłem w błędzie. Jeśli zaś prądy istnieją, lub lodowce posuwają się, pędzone przypadkowo przez wiatry, co w danym razie jest wszystko jedno, nie pojmuję, dlaczego w ciągu 5—6 lat nie mielibyśmy być zaniesieni gdzieś na wybrzeże oceanu Lodowatego. Wówczas dobierzemy się do mieszkań ludzkich, czy to będzie na brzegach Ameryki, czy Azji. Basen polarny jest w gruncie rzeczy tak niewielki, że w przeciągu lat pięciu możemy go przepłynąć stanowczo, bez względu na szybkość posuwania się. Jeśli statek zginie, użyjemy posiadanych szalup, a jeśli ruchy nasze na wodzie powstrzyma lód, to wypadnie próbować, albo płynąć w kierunku odwrotnym, albo posuwać się po lodzie, w kierunku lądu znanego i zamieszkałego. O tem wszystkiem zresztą będziemy rozprawiać po powrocie. Do trudności jesteśmy przygotowani. Bez nich niema wyprawy, tak samo, jak bez ryzyka nie ma zwycięstwa«.

To były ostatnie słowa, z jakiemi Nansen pożegnał ląd znany. *»Słowo«.*

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.